

**PO RAZ PIERWSZY W HISTORII:
NAJSŁAWNIEJSI BOHATEROWIE THRILLERÓW SPOTYKAJĄ SIĘ...**

TWARZA W TWARZ

DENNIS LEHANE VS MICHAEL CONNELLY

IAN RANKIN VS PETER JAMES

R. L. STINE VS DOUGLAS PRESTON i LINCOLN CHILD

M. J. ROSE VS LISA GARDNER

STEVE MARTINI VS LINDA FARSTEIN

JEFFERY DEAVER VS JOHN SANDFORD

HEATHER GRAHAM VS F. PAUL WILSON

RAYMOND KHOURY VS LINWOOD BARCLAY

JOHN LESCROART VS T. JEFFERSON PARKER

STEVE BERRY VS JAMES ROLLINS

LEE CHILD VS JOSEPH FINDER

POD REDAKCJĄ DAVIDA BALDACCIO

DENNIS LEHANE i MICHAEL CONNELLY

Na papierze wszystko wyglądało fajnie: skojarzyć w słusznej sprawie Patricka Kenziego i Harry'ego Boscha, pozwalając im wystąpić w jednym opowiadaniu. Jednak Dennis Lehane i Michael Connelly szybko zdali sobie sprawę, że łatwiej to powiedzieć, niż zrobić. Obie postacie są głęboko wrosnięte w realia swoich miejsc zamieszkania i wykonywanych zawodów. Oczywiście obie zostały wymyślane, ale ich twórcom zawsze zależało, by nie były sztuczne i papierowe. Krótko mówiąc, Harry Bosch i Patrick Kenzie żyją lub umierają z czytelnikami na zasadzie swojej wiarygodności. I żadne opowiadanie z ich udziałem – w słusznej czy niesłusznej sprawie – nie mogło się tej zasadzie sprzeniewierzyć.

Zatem jak te dwie ikoniczne postacie mogły się na siebie natknąć?

No i przede wszystkim, na czym to miało być terenie?

Czy Bosch miał się udać na wschód, do Bostonu Kenziego, czy Boston miał zjechać do Los Angeles?

Od początku wydawało się oczywiste, że to Boscha należało wysłać na wschód. Ostatnio Bosch pracuje w Jednostce do Spraw Niewyjaśnionych policji w Los Angeles,

której funkcjonariusze z natury rzeczy muszą dużo podróżować. Gdy ludzie dochodzą do wniosku, że popełnione morderstwo uszło im na sucho, w sposób oczywisty starają się wyjechać daleko od miejsca przestępstwa. Ponieważ wiele spraw prowadzonych przez Boscha zmuszało go do podróżowania po kraju, postanowiono, że obowiązki służbowe rzuca go do Bostonu i tam zetknie się z Kenziem.

Michael umiejscowił początek opowieści w Los Angeles i obmyślił przestępstwo, którym Bosch zajmuje się wiele lat po tym, jak je popełniono. Podążając śladami podejrzanego, trafia do Bostonu, rozpoczyna inwigilację i potajemnie zdobywa próbkę jego DNA z wyrzuconego kubka po kawie czy niedopałka papierosa. W Bostonie jego ścieżki przecinają się ze ścieżkami Kenziego, który prowadzi obserwację tego samego człowieka, tyle że z zupełnie innych powodów.

Michael napisał pierwsze sześć stron opowiadania, na kilku dodatkowych nakreślił potencjalne zwroty akcji i wysłał całość e-mailem do Dennisa z propozycją, by ten napisał kolejne sześć stron i dokończył opowiadanie. Nic prostszego. W ten sposób szybko i łatwo wywiążą się z zobowiązania i za kilka dni każdy będzie mógł wrócić do własnej pracy.

Po czym zaczęło się czekanie na odpowiedź.

Michael czekał i czekał.

Z kilku dni zrobiło się kilka tygodni.

W końcu nie wytrzymał i wysłał Dennisowi e-maila z informacją, że jakoby ma kłopoty z internetem i chce się tylko upewnić, czy Dennis otrzymał jego e-mail z początkiem opowiadania. W odpowiedzi Dennis przysłał gotowy tekst z dopisanymi dwudziestoma stronami i mocno rozbudowaną intrygą, którą dodatkowo okraszył elementami

humoru.

Oto ich pierwsze spotkanie twarzą w twarz.

Nocny lot

(RED EYE)

2005

Z zasady Harry Bosch zawsze starał się trzymać z dala od tuneli, jednak po przybyciu na lotnisko Logana nie miał wyjścia – przejazd którymś z tuneli, Williamsa lub Sumnera, do wyboru, był nieunikniony. GPS w jego samochodzie z wypożyczalni wybrał Williamsa, więc Harry posłusznie zanurzył się głęboko pod bostoński basen portowy. W tunelu ruch samochodowy najpierw bardzo zgęstniał, potem całkiem stanął i Bosch zdał sobie sprawę, że nocny lot z Los Angeles wpakował go w sam środek porannego szczytu.

Oczywiście tunel był dużo dłuższy, szerszy i lepiej oświetlony niż tunele z jego przeszłości i nocnych koszmarów, a w dodatku nie był w nim sam. Jezdnię od ściany do ściany wypełniały samochody osobowe i ciężarowe – masa stali pod masą wody, tyle że teraz tylko jedna z nich płynęła. Ale tunel to zawsze tunel i nie musiał długo czekać na pojawienie się pierwszych oznak klaustrofobii. Poczul gwałtowny ucisk w klatce piersiowej, zaczął się pocić i ze zniecierpliwieniem zatrafił. Tym swoim bezsilnym protestem udowodnił jedynie, że jest tu obcy. Miejscowi nie trąbili, wiedząc, że to i tak niczego nie zmieni.

W końcu samochody ruszyły, Bosch wyjechał z tunelu i

opuścił szybę, by wpadło trochę świeżego powietrza. Pomyślał, że musi sobie kupić plan miasta i znaleźć taką drogę powrotną na lotnisko, by nie przejeżdżać przez tunel. Szkoda, że samochodowy GPS nie był wyposażony w funkcję OMIJAJ TUNELE. Będzie musiał trafić na lotnisko bez jego pomocy.

Zgodnie z zasadami obowiązującymi w Jednostce do Spraw Niewyjaśnionych policji w Los Angeles Bosch powinien się zameldować u lokalnych władz natychmiast po przyjeździe do obcego miasta. W tym przypadku było to biuro Dystryktu E-13 policji bostońskiej na Jamaica Plain. Tam właśnie znajdował się adres Edwarda Paisleya, którego próbkę DNA przyjechał zdobyć bardziej czy mniej oficjalnie.

Tyle że Bosch często machał ręką na obowiązujący regulamin. Zwykle kierował się własnymi zasadami, a te przewidywały wcześniejsze zapoznanie się z terenem i nawet rzucenie okiem na ściganego, a dopiero potem zgłoszenie się do miejscowej policji.

Bosch zamierzał najpierw sam wyszukać adres Paisleya i jeśli się uda, wstępnie mu się przyjrzeć, potem pojechać do Courtyard by Marriott, gdzie przez serwis Expedia zarezerwował pokój. Może nawet utnie sobie najpierw drzemkę, by wyrównać utratę snu przez ten nocny lot, i dopiero wczesnym popołudniem zamelduje się w Dystrykcie E-13 i powiadomi dowodzącego nim kapitana czy majora, że przyjechał z Los Angeles w związku ze śledztwem w sprawie morderstwa sprzed piętnastu lat. Zapewne przydzieli mu do pomocy jakiegoś miejscowego śledczego, który akurat podpadł szefostwu. Nianężenie gliniarza z obcego miasta, który przyjeżdża węszyć w sprawie morderstwa popełnionego w 1990 roku, nie mogło nikogo uradować.



Dwa dni wcześniej, w barze przy Warren Street w Roxbury, Dontelle Howe spytał Patricka Kenziego, czy ten ma dzieci.

Patrick niepewnie kiwnął głową, nie bardzo wiedząc, jak odpowiedzieć.

– Jedno w drodze – odparł.

– Kiedy?

– Lada dzień.

Dontelle Howe się uśmiechnął. Był dobrze zbudowanym czarnym mężczyzną po trzydziestce, z krótkimi dreadami, i miał na sobie tak świeżutkie ciuchy, że zapach krochmalu musiał docierać do sąsiedniego pomieszczenia.

– Pierwsze?

Patrick skinął głową.

– Nie jesteś trochę za stary?

Dontelle upił kolejny łyżeczek z jedyne go kieliszka brandy, na jaki pozwalał sobie wieczorami w dni powszednie. Co innego w weekendy. Jak zapewnił Patricka, w piątki i soboty potrafił wyžłopać tyle henneya, ile sam waży, jednak w niedziele i dni powszednie ograniczał się do jednego kieliszka na wieczór, bo następnego dnia rano siadał za kierownicą szkolnego autobusu i zwoził czterdzieścioro pięcioro dzieci z całego miasta do gimnazjum Dearborn w Roxbury, jakieś dwie przecznice od baru, w którym zgodził się spotkać po pracy z Patrickiem.

– Trochę za stary? – Patrick spojrzał na swoje odbicie w lustrze za barem. Może ciut posiwiał, ciut przybrał na wadze, może na głowie miał ciut mniej włosów, niżby sobie życzył, ale jak na czterdzieści lat wyglądał całkiem nieźle. I to lat przeżytych w takim pędzie. Albo nieźle, albo sobie wmawia, co również było możliwe. – Ty też nie wyglądasz

na chłopaczka z boysbandu.

– Tylko że ja mam już dwójkę w podstawówce. Ani się z moją starą obejrzymy, jak pójda do college’u, a my wyjedziemy gdzieś na Florydę i będziemy się byczyć. I wtedy będę w twoim wieku.

Patrick parsknął śmiechem i upił trochę piwa.

Dontelle Howe spochmurniał i spytał ponurym tonem:

– Znaczy nikt jej nie szuka? Nadal?

Patrick lekceważąco machnął ręką.

– Policja uważa, że to problemy rodzinne. Jej ojciec to prawdziwy zasraniec, w dodatku nikt nie potrafi go znaleźć. Jej też nie, czyli moim zdaniem, jak dwa a dwa cztery, ona się odnajdzie.

– Człowieku, przecież ona ma tylko dwanaście lat.

„Ona” nazywała się Chiffon Henderson, chodziła do siódmej klasy i Dontelle Howe codziennie rano zabierał ją z osiedla mieszkaniowego Bromley-Heath na Jamaica Plain i dziewięć godzin później wysadzał w tym samym miejscu. Trzy dni temu Chiffon zniknęła ze swojego pokoju na tyłach mieszkania, które zajmowała z dwiema siostrami i matką. Nie ulegało wątpliwości, że z niego wyszła, jednak czy zrobiła to z własnej woli, nie było już takie pewne. Pokój opuściła przez okno. Nie znaleziono żadnych śladów szamotaniny lub włamania. Matka powiedziała policji, że w ciepłe noce Chiffon często zostawiała okno otwarte, choć ona mówiła jej tysiąc razy, żeby tego nie robiła. Policja skupiła uwagę na ojcu, Lonniem Cullenie, kompletnie nieodpowiedzialnym próżniaku, z gromadką dzieci rozsianych w czterech byłych rodzinach, który w ostatni weekend nie zameldował się u swojego kuratora i od paru dni nie pojawiał się w swym ostatnim miejscu zamieszkania. Mówiono, że Chiffon zaczęła się spotykać z chłopakiem mieszkającym w jednym z sąsiednich bloków na osiedlu,

jednak nikt nie znał jego nazwiska i nie wiedział o nim nic bliższego.

Matka dziewczynki, Ella Henderson, pracowała na dwóch etatach. Za dnia jako recepcjonistka w przychodni położniczo-ginekologicznej czterech lekarzy w Beth Israel, a nocami przy sprzątanii biur. Była klasyczną reprezentantką zapracowanej biedoty, która tyle czasu poświęca na to, by wyżywić dzieci i opłacić rachunki, że brakuje go na zajęcie się wychowaniem tych dzieci, aż pewnego dnia jest już za późno.

Dwa dni temu przyjmowała w przychodni żonę Patricka, Angie, która zgłosiła się na ostatnią wizytę kontrolną przed porodem. Termin przyjścia na świat potomka Kenziech był wyznaczony za tydzień. Henderson skrupulatnie sprawdziła dane ubezpieczeniowe pacjentki oraz daty urodzenia obojga rodziców, a potem się rozbeczała. Nie był to dramatyczny szloch, jej twarz nadal zdobił grzeczny profesjonalny uśmiech, oczy wpatrywały się w ekran komputera i tylko po policzkach ciekły strużki łez.

Pół godziny później Patrick przyrzekł popytać o jej córkę. Prowadząca sprawę zaginięcia Chiffon śledcza Emily Zebrowski zajmowała się obecnie dwunastoma różnymi dochodzeniami i z radością przyjęła pomoc Patricka, od razu informując go, że jak dotąd nie znalazła żadnych poszlak wskazujących na uprowadzenie. Choć tak naprawdę pokój Chiffon sam się o to prosił. Wysoki platan rósł tuż obok bloku i przesłaniał jej okno oraz okna kilku wyższych pięter; budynek stał na tyłach osiedla przy Heath Street, a władze miejskie już pięć miesięcy temu miały wymienić żarówki w okolicznych latarniach, zestrzelone przez jakichś pijanych osobników w ostatnią noc sylwestrową. Emily Zebrowski zapewniła Patricka, że wieczorem w dniu zniknięcia Chiffon Henderson nikt nie słyszał hałasów z jej

pokoju. Ludzie rzadko znikają wbrew swojej roli, dodała. To się zdarza częściej w telewizji niż w realnym życiu.

– Zatem jaką masz wstępną teorię? – spytał Patrick.

– Jej ojciec – odparła śledcza Zebrowski. – Facet ma na swoim koncie więcej wykroczeń niż niektórzy włosów na głowie.

– Po co?

– Słucham?

– Jest skończonym draniem, to rozumiem – rzekł Patrick. – Tyle że jego draństwo mają zwykle określony cel, nie? Jakiś motyw. Wykrada jedno ze swoich dzieci, bo chce na tym zarobić albo uwolnić się od jego matki, albo coś w tym rodzaju. Ale matka tej dziewczynki jest bez grosza, nigdy nie wystąpiła do sądu o alimenty, a jaki facet jego pokroju chciałby brać sobie na głowę dwunastoletnią smarkulę i od rana do nocy wysłuchiwać jej narzekań?

Śledcza Zebrowski wzruszyła ramionami.

– Tobie się zdaje, że takie łajdaki jak Lonnie Cullen wszystko z góry obmyślają? Gdyby tak było, to nie pamiętaliby numeru na swoim pomarańczowym drelichu lepiej niż własnej daty urodzenia. Zrobił to, bo jest kryminalistą i kretyńcem, który nad swoimi emocjami panuje gorzej niż pchła na krowim zadku.

– A co z tym jej chłopakiem?

– Przyglądam się temu.

Dwa wieczory temu Dontelle powiedział do Patricka:

– Ale ty w to nie wierzysz, tak?

Patrick wzruszył ramionami.

– Takie łachudry jak on porzucają swoje dzieci, nie uprowadzają. W każdym razie nie ojcowie, którzy, jak Lonnie, zniknęli z ich życia lata temu. A co do tego chłopaka, to niby jak? Siedzą w chałupie od trzech dni i nawet nie wyściubią nosa, żeby coś przegryźć, nie zadzwonią

do nikogo?

– Wiem tylko tyle – mruknął Dontelle – że wyglądała na miłe dziecko. Nie żadna pyskata siksa, jedna z tych, co to się wiecznie pchają do przodu i wymądrzają. Była wyciszona, ale... taka uważna, rozumiesz.

Patrick pociągnął kolejny łyk piwa.

– Nie, nie rozumiem. Opowiedz.

– Wiesz, w takiej sytuacji jak moja, musisz najpierw odbyć dziewięćdziesięciodniowy okres próbny i w tym czasie twój kurator może cię zapuszkować za byle co. Potem jednak przechodzisz pod kuratelę miasta i musiałbyś naprawdę nieźle narozrabiać i stać się miejscowym bin Ladenem, żeby miasto wzięło cię za dupę. Swoje dziewięćdziesiąt dni skończyłem parę tygodni temu i Chiffon nie tylko mi pogratulowała, ale nawet wręczyła torcik z owocami.

– Żartujesz – rzekł Patrick z uśmiechem.

– Taki kupny, ale zawsze. Miłe, nie?

– Bardzo miłe.

– Przekonasz się za dwanaście lat. Dzieci w tym wieku nie za bardzo myślą o innych. Najważniejsze dla nich jest to, co się dzieje tu – poklepał się po głowie – i tu – pokazał na krocze.

Przez chwilę pili w milczeniu.

– Nic z tego dnia nie zapamiętałeś? Nic niezwykłego?

Dontelle pokręcił głową.

– Dzień jak każdy. „Do zobaczenia jutro, Chiffon”, rzuciłem jak zawsze, a ona jak zawsze odpowiedziała: „Do zobaczenia jutro, Dontelle”. I wysiadła.

Patrick podziękował i zapłacił za nich obu. Zbierając resztę z blatu, zapytał:

– Wyzaczyli ci okres próbny?

Dontelle pokiwał głową.

– Tak, to standard.
– Wiem, ale chodzi mi o to, że zacząłeś pracę w połowie roku szkolnego. Mamy teraz maj, czyli musiałeś ją zacząć gdzieś w lutym, nie?

Ponowne skinięcie głową.

– Tak, pod koniec stycznia.

– A co przedtem robiłeś?

– Prowadziłem autobusy wycieczkowe. Stąd na Florydę, stąd do Montrealu, stąd do Portlandu, zależnie od pory roku. Cholera, to siedzenie godzinami za kółkiem było prawdziwą katorgą. Wpatrywanie się w drogę mnie zabijało. Jak się tylko trafiła ta praca, bez wahania się przeniósłem.

– Dlaczego się trafiła?

– Paisleya dopadli za jazdę po pijaku.

– Paisleya?

– Tego frajera, na którego miejsce przyszedłem. Wiem od innych kierowców, że dawał do wiwatu. Wiózł autobusem czterdziestkę dzieciaków i miał szklany wzrok. Po ostatniej wpadce nawet kolesie ze związku mu nie pomogli. Zjechał autobusem do rowu na American Legion Highway, wyobrażasz sobie? – Dontelle aż parsknęła śmiechem z niedowierzania. – Niewiele brakowało, a zaliczyłby dachowanie. Zatrzymał się i wysiadł, żeby się odlać. O wpół do siódmej rano, kapujesz? Wraca za kółko, próbuje zjechać z pobocza i autobus rusza, tylko że w drugą stronę, do rowu. To sprawa sądowa, jeszcze jak.

– Paisley – powtórzył Patrick.

– Edward Paisley – potwierdził Dontelle. – Jak ten materiał na krawaty*.

♦ ♦ ♦

* *Paisley* (ang.) – ozdobna tkanina w orientalne wzory.

Paisley mieszkał przy Wyman Street w szarym szeregowcu z pasami łuszczącej się białej farby i niewielkim frontowym gankiem, na którym stała wysłużona kozetka. Bosch przejechał obok, nie zatrzymując się, okrążył cały kwartał, znów minął dom i zaparkował przy chodniku kawałek dalej. Ustawił boczne lustro tak, by mieć na oku drzwi wejściowe i ganek. Lubił prowadzić taką jednoosobową obserwację. Jeśli ktoś chce sprawdzić, czy nie jest śledzony, zwykle zagląda w przednie szyby zaparkowanych samochodów. Ustawienie się tyłem do obiektu utrudnia mu wykrycie obserwatora. Być może Edward Paisley nie miał nic wspólnego z morderstwem Letitii Williams sprzed wielu lat, ale jeśli miał, nie przeżyłby ostatnich piętnastu lat bez zaglądania w przednie szyby i bycia czujnym.

Na tym etapie Bosch miał tylko nadzieję dojrzeć ślad życia w namierzonym domu i upewnić się, że Paisley rzeczywiście w nim mieszka. Jeśli dopisze mu szczęście, Paisley wyskoczy na kawę albo coś zjeść w porze lunchu. Do uzyskania potrzebnej próbki DNA wystarczy wyrzucony papierowy kubek po kawie lub kawałek brzegu pizzy. A może Paisley jest palaczem? Niedopałek równie dobrze załatwi sprawę.

Harry wyciągnął teczkę z dokumentami z zamykanej na zamek szuflady walizeczki, z którą zawsze podróżował, i wyjął powiększenie fotografii, którą poprzedniego dnia wydobył z akt wydziału komunikacji w Massachusetts. Zdjęcie zrobiono przed trzema laty. Paisley był białym, łysiejącym, wówczas pięćdziesięcioletnim mężczyzną. Obecnie nie miał już prawa jazdy. Odebrano mu je cztery miesiące temu, gdy został aresztowany za jazdę po alkoholu. Zjechał szkolnym autobusem do rowu, po czym się okazało, że ma we krwi dwa i dwie dziesiąte promila. W rezultacie

stracił pracę kierowcy w miejscowym wydziale oświaty, a być może także wolność. W związku z tym jego odciski palców trafiły do policyjnej bazy i tam czekały na Boscha. Czasami dopisywało mu szczęście. Gdyby zajął się tą sprawą jedenaście miesięcy wcześniej i skorzystał z komputerowego porównywania odcisków znalezionych na miejscu zbrodni, nic by nie znalazł. Ale traf chciał, że zajął się tą sprawą cztery miesiące temu i w rezultacie był teraz w Bostonie.

Przez dwie godziny tkwienia w samochodzie nie dostrzegł śladu życia w domu Paisleya i zaczynał się już niecierpliwieć. Może Paisley wyszedł na cały dzień jeszcze przed jego przyjazdem, a on traci tylko czas i obserwuje pusty dom. Postanowił wysiąść i przespacerować się. Przecznicę wcześniej zauważył osiedlowy sklepik. Przejdzie koło domu Paisleya i lepiej obejrzy sobie to miejsce, po czym kupi w sklepie gazetę i baniak mleka. Wróci do samochodu, wyleje mleko do ścieku i zatrzyma pusty baniak na wypadek, gdyby zachciało mu się sikać. Obserwacja zapowiadała się na dłuższą.

Gazeta też mu się przyda. Będzie mógł sprawdzić ostatnie wyniki baseballu. Wczoraj wieczorem Dodgersi w meczu ze znienawidzonymi Giantsami rozpoczęli dogrywkę w chwili, gdy musiał już wsiadać do samolotu, więc nie poznał wyniku spotkania.

Już miał wysiąść, gdy po drugiej stronie jezdni, niemal dokładnie na wysokości jego samochodu, zatrzymał się poobijany jeep cherokee. W środku siedział mężczyzna i Boscha zaintrygowało to, że zgasił silnik, lecz nie wysiadł, tylko lekko się osunął na fotelu, najwyraźniej wpatrując się w to samo miejsce co Bosch.

Bosch zauważył, że mężczyzna przez chwilę rozmawiał przez telefon komórkowy, potem jednak znieruchomiał i

przez godzinę siedział beczynnie za kierownicą jeepa, gapiąc się na ruch uliczny. Był za młody na Paisleya. Mógł mieć trzydzieści parę, może czterdzieści lat, miał na sobie granatową bluzę z cienkim szarym kapturem, a na głowie bejsbolówkę. Boscha zastanowiło coś w tej czapeczce, ale dopiero po dłuższej chwili uzmysłowił sobie, że to pierwsza bejsbolówka, jaką widzi w tym mieście, na której nie ma dużej litery B. Zamiast niej było coś na kształt wykrzywionej w uśmiechu buźki, choć patrząc z tej odległości, Bosch nie mógł być do końca pewny. Wyglądało na to, że mężczyzna w jeepie na kogoś czeka. Czyżby na tę samą osobę co Bosch?

Po pewnym czasie Bosch spostrzegł, że mężczyzna w jeepie zerka na niego równie podejrzliwie jak on na niego. Obaj siedzieli bez ruchu w swoich samochodach i z odrętwienia wyrwało ich dopiero wycie syreny wozu strażackiego, który przemknął jezdnią pomiędzy nimi. Wpatrując się w lusterko wsteczne, Bosch odprowadził wzrokiem oddalający się wóz, a kiedy zerknął na drugą stronę ulicy, stwierdził, że w jeepie nie ma nikogo. Kierowca albo skorzystał z chwilowego zamieszania i wysiadł, albo ułożył się w środku tak, że nie było go widać.

Bosch uznał, że raczej to pierwsze. Wprostował się w fotelu i ogarnął wzrokiem drugą stronę ulicy. Nie widać było ani żywej duszy. Odwrócił głowę, by rozejrzeć się po swojej stronie, i wtedy za szybą ujrzał mężczyznę w bejsbolówce. Facet obrócił ją daszkiem do tyłu, wzorem ulicznych łobuzów w akcji. Na szyi zwiślał mu srebrny łańcuszek, którego końce niknęły pod granatową bluzą. Pewnie miał przy nim jakąś odznakę. Wybrzuszenie prawej tylnej kieszeni spodni świadczyło niezbicie, że facet ma broń. I to coś masywnego, większego niż glock. Mężczyzna nachylił się do okna i kiwnął palcem, żeby Bosch opuścił szybę.



Facet siedzący w aucie z wypożyczalni Hertza, z nawigacją typu „nigdy się nie zgubisz” na desce rozdzielczej, przez dłuższą chwilę wpatrywał się w Patricka, w końcu jednak opuścił szybę. Jakieś pięćdziesiąt kilka lat, ale dobrze zakonserwowany. Umieśniony. Coś w jego wyglądzie mówiło: glina. Choćby czujność spojrzenia. Oczy gliny, które zdają się nigdy do końca nie zamykać. A także ułożenie ręki na udach, tak by w każdej chwili móc sięgnąć do kieszeni marynarki po glocka czy smitha, w razie gdyby Patrick miał złe zamiary. Lewej ręki.

– Dobry greps – powiedział.

– Taa?

Mężczyzna w samochodzie pokiwał głową.

– Wezwanie wozu strażackiego. Zgrabne rozproszenie uwagi. Jesteś z Dystryktu Trzynastego?

Prawdziwy bostończyk zawsze mówi tak, jakby walczył z katarą. A ten miał zupełnie czysty głos. Może niezbyt przyjazny, ale czysty. Czyli nietutejszy. Bez śladu bostońskiego akcentu. Ani chybi jakiś federalny. Zaczynał w Kansas, przeszedł szkolenie w Quantico i teraz go tu przysłali. Patrick postanowił prowadzić grę, jak długo się da. Pociągnął za klamkę, ale drzwi okazały się zablokowane. Facet je odblokował, przełożył walizeczkę na tylne siedzenie i Patrick wszedł do środka.

– Trochę stąd daleko do Center Plaza, co? – powiedział.

– Może – rzekł mężczyzna za kierownicą. – Tyle że nie wiem, ani gdzie to jest, ani co tam jest.

– Czyli nie jesteście z Biura. No to skąd?

Mężczyzna znów się zawahał, jego lewa ręka nadal leżała na udzie. W końcu jednak skinął głową, jakby uznał, że warto zaryzykować.

– Z policji w Los Angeles. Zamierzałem się do was zgłosić po południu.

– A co robi gliniarz z LA na JP?

– JP?

– Jamaica Plain. Mógłbym zobaczyć twoją odznakę?

Mężczyzna wyjął portfel i rozchylił go tak, by Patrick mógł rzucić okiem na odznakę z wydziału śledczego i legitymację ze zdjęciem. Nazywał się Hieronimus Bosch.

– Nieźle masz imię. Jak się to wymawia?

– Wystarczy Harry.

– Jasne. To co tu robisz, Harry?

– A ty? Bo na tym swoim łańcuszku nie masz odznaki.

– Nie?

Bosch pokręcił głową.

– Byłoby widać zarys pod bluzą. Krzyżyk?

Patrick przez chwilę patrzył na niego w milczeniu, potem skinął głową.

– Tak, żona każe mi go nosić. – Wyciągnął rękę. – Patrick Kenzie. I nie jestem gliną. Jestem niezależnym detektywem.

Bosch uściśnął mu dłoń.

– Interesujesz się baseballem, Pat?

– Patrick.

– Interesujesz się baseballem, Patrick?

– Jasne. A co?

– Bo jesteś w tym mieście pierwszym facetem w bejsbolówce bez emblematu Soxów.

Patrick zdjął z głowy bejsbolówkę, przyjrzał się jej i przygłodził włosy.

– O kurczę – mruknął. – Nawet nie spojrzałem, co zakładałam na głowę.

– To żelazna reguła w tych stronach? Wszyscy musicie należeć do szczepu Red Sox, czy coś w tym rodzaju?

- Nie żelazna reguła. Bardziej wytyczna.
- Bosch znów spojrzał na czapeczkę Patricka.
- A co to za pocieszenie wyszczerzona buźka?
- Zębulec – odrzekł Patrick. – Logo sklepu z płytami, do którego chodzę.
- Wciąż jeszcze kupujesz płyty?
- Kompakty. A ty?
- Też. Głównie jazz. Ale podobno to wszystko się kończy. Płyty, kompakty, cały dotychczasowy handel muzyką. Przyszłość to MP3 i iPody.
- Też tak słyszałem. – Patrick obejrzał się przez ramię.
- Interesujemy się tym samym gościem, Harry?
- Tego nie wiem – odparł Bosch. – Mnie interesuje podejrzany o morderstwo z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego. Muszę zdobyć jego DNA.
- Kto taki?
- Coś ci powiem. Najlepiej będzie, jak pojedę do Trzynastki, zamelduję się u kapitana i wtedy wszystko będzie jak trzeba. Ja przedstawię się tobie, a ty przedstawisz się mnie. Gliniarz i prywatny detektyw połączą siły i zdejmą ciężar z ramion bostońskiej policji. Bo wołałbym, żeby mój kapitan w Los Angeles nie dostał telefonu od...
- Chodzi ci o Paisleya? Masz na oku Edwarda Paisleya?
- Bosch przez dłuższą chwilę przyglądał się Patrickowi.
- Kto to jest Edward Paisley?
- Nie pieprz. Opowiedz mi o tej sprawie z dziewięćset dziewięćdziesiątego.
- Posłuchaj. Jesteś prywatnym detektywem, który raczej nie musi wszystkiego wiedzieć, a ja jestem gliniarzem...
- ...który nie dopełnił obowiązku i nie zameldował się od razu w miejscowej policji. – Rozejrzał się. – Chyba że kryje się tu gdzieś łącznik z Dystryktu Trzynastego tak cholernie dobry, że go nigdzie nie widać. Zajmuję się

zaginięciem dziewczynki i Paisley może być w to zamieszany. Dziewczynka ma dwanaście lat i trzy dni temu zniknęła. Dlatego bardzo chciałbym wiedzieć, co się wydarzyło w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym. Powiedz mi, a będziesz miał we mnie najlepszego przyjaciela.

- Dlaczego jej nie szukają?
- Kto powiedział, że jej nie szukają?
- Bo szukasz jej ty, a ty jesteś przywaciarzem.

Patrick wyczuwał smutek w głosie policjanta z Los Angeles. Taki, którego źródłem jest nie zła nowina z dnia wczorajszego, ale złe nowiny zwalające się na głowę przez większość dni. Mimo to oczy Boscha nie straciły blasku. Widać w nich było chęć – może wręcz przymus – ścigania zła. To nie był rozleniwiony kocur, który tylko podbija kartę, do niczego się nie wtrąca, bierze pensję i odlicza dni do emerytury. To był prawdziwy gliniarz, który jak trzeba, kopie w drzwi, nie zastanawiając się, kto jest po drugiej stronie, i po dwudziestu latach służby nadal pracuje.

– Dziewczynka jest niewłaściwego koloru skóry, należy do niewłaściwej kasty społecznej, a okoliczności towarzyszące jej zniknięciu są na tyle smrodliwe, że wszyscy się zastanawiają, czy została uprowadzona, czy sama zwiła.

- I myślisz, że Paisley może mieć z tym coś wspólnego.

Patrick pokiwał głową.

- Dlaczego?

– Bo już dwukrotnie stał przed sądem za molestowanie nieletnich.

- Nieprawda. Sprawdziłem go.

– Sprawdziłeś w rejestrze krajowym. Ale nie przyszło ci do głowy sprawdzać w Kostaryce i na Kubie. A w obu tych krajach był aresztowany i postawiony w stan oskarżenia. W końcu jakoś się z tego wymigał, ale jest tam notowany.